

ZROBIENI W KURY

Wyznania szczerego
entuzjasty teatru

PAWEŁ GŁOWACKI

Ciekawe, kiedy wyrósł ci dziób, niemy barmanie? Dopiero na ostatniej próbie generalnej czy już tego dnia kłopotliwego, kiedy reżyser Jarosław Tumidajski pierwszy raz opowiadał wam, artystom Teatru Ludowego, jakież to na kanwie „Disneylandu” Stanisława Dygata cudne przedstawienie stworzy z wami? Kiedy poczułeś, iż niebawem jaja zaczniesz znosić i dziobać ziarna przed chlewikiem? Kiedy pierwszy raz oblał cię pot zimny, bo śniąc niedzielny obiad u babci Katarzyny – na talerzu dziadka Zenona, między ziemniakami a mizerią, nagle dostrzegłeś swą panierowaną nóżkę, i usłyszałeś, jak w postaci rosółu spływasz gardłem stryjenki Jadzi? A ty, widzisz?

Pytam, od sobotniego wieczoru dumam o tym, gdyż w sobotni wieczór patrzę, a grający barmana aktor ma twarz ukrytą w masce udającej oblicze głupio uśmiechniętej kury. Prawie bez przerwy. Gdy zdejmię ją raz – w istocie niczego to nie zmieni. Tak jak niczego nie zmieniają dłuższe bądź krótsze chwile, gdy barmana na scenie brak. Chwilowy brak dzioba kurzego niczego nie zmienia, bo „Disneyland” Tumidajskiego to dzieło z tego gatunku, że metaforyczny dziób kurzy tkwi tam bez przerwy, naprzeciw wszystkiego, wiernie.

Dziób – alfa i omega.
Dziób – odpowiedź. Dziób – streszczenie. Dziób – lustreczko. Dziób – jedyny sensowny partner. Dziób – sedno. Dziób – recenzja. Nie chce być inaczej. Weź-

my cokolwiek, choćby główny element scenografii – wchodząca głęboko w widownię bieżnię lekkoatletyczną. Gdy, wybaczenie brawurę, aktorzy w dressach ganiają po tej biednej, kompletnie amatorskiej konstrukcji z aluminiowych żerdzi i sklejki – scena rozmowy na bieżni zmienia się w wypełnioną totalnym łomotem scenę naszej nadziei, że cała ta architektura nie pier... zbyt szybko. Patrząc na to nie sposób nie wyczuć obecności głupio uśmiechniętej kury – niewidki, dryfującej nad bieżnią. A sami, raz jeszcze wybaczenie brawurę, aktorzy? Dają nadzieję – na co?

Mówią tak, że przez pierwsze pięć minut rozumieć tylko co drugą samogłoskę, przez kolejne pięć co czwartą spółgłoskę, zaś pod koniec kwadransa jedno całe słowo, choć i tak nie w pełni. Według mnie był to celny rzeczownik „popelina”. Jeśli tak gadali – to właściwie, co oglądaliśmy? O czym piszę? O „Panu Jowialskim”? „Bracie naszego Boga”? „Testosteronie”? O niczym? Oto troje artystów rozbiera się dzielnie i bez sensu... O aktorstwie pisząc – w istocie, o czym piszę, skoro z tych trojga tylko Karolina Stefańska była ciekawsza od swej niewątpliwie ciekawej golizny? A reszta? A ci, co się nie rozbierali? Mają Tumidajskiemu dziękować, że pozwolił im w portkach zostać? O niczym piszę. Kolejne oblicze głupio uśmiechniętej kury wyłania się z kulis. Zostawiam detale. Przechodzę do sedna.

O niczym piszę, więc nie o „Disneylandzie” Dygata. To logiczne. Lecz gdyby się uprzeć i dzieło Tumidajskiego z oryginałem zestawić – co wyjdzie? Otów.

O książce Dygata zapewne sto opinii wygłosić można, jedno wszakże pewne. Proza ta nie, prawie nie nie waży. Pachnie lekkością, nie tłustym metalem. Cytowany w programie Konwinki rzekł o Dygacie: „Jest mistrzem ślicznej narracji, jest arcymistrzem tej czułej nostalgii wiecznie młodego serca”. O książkach jego – że czarujące. Do słów tych zadnych innych słów dodawać nie trzeba. A u Tumidajskiego? Hipopotamizm teatralny?

Przez Dygata napisana miłość – w otów obrócona. Ołowiane, ponure romanse na tle rozdygotanej bieżni, kurzego barmana i najsmutniejszego widoku świata: monstualnego krendensu, pełnego pustych flaszek po gorzałce. Gdzie, z jakiego podwórka i który nielot wydziobał Tumidajskiemu aż tyle ciężaru, tyle psychologicznego mozołu, tyle isticie strindbergowskich ciemności? W cieniu jak bardzo tępej kury wpadł na myśl, by „Disneylandem” widza katować, nie pieścić? I który zły duch gdakaniem upiornym zakrył mu oczywistość, że owszem, jest ból w napisanym świecie Dygata – tylko że ból ten nie śmie ważyć tony?

Nie wiem tego. Wiem tylko, że gdy po ostatniej kurtynie zerknałem na widownię – urzałem krajobraz nieuchronny. Domyślcie się: dzioby, co wyrosły nam przez półtorej godziny sensu. Dzioby i głupie uśmieшки pod dziobami. W drodze powrotnej do domów ołowiane kupry teatromanów gruchały chodniki zasypiającego miasta.

Teatr Ludowy. Stanisław Dygat „Disneyland”. Reżyseria Jarosław Tumidajski. Scenografia Mirek Kaczmarek. Choreografia Anka Jankowska.